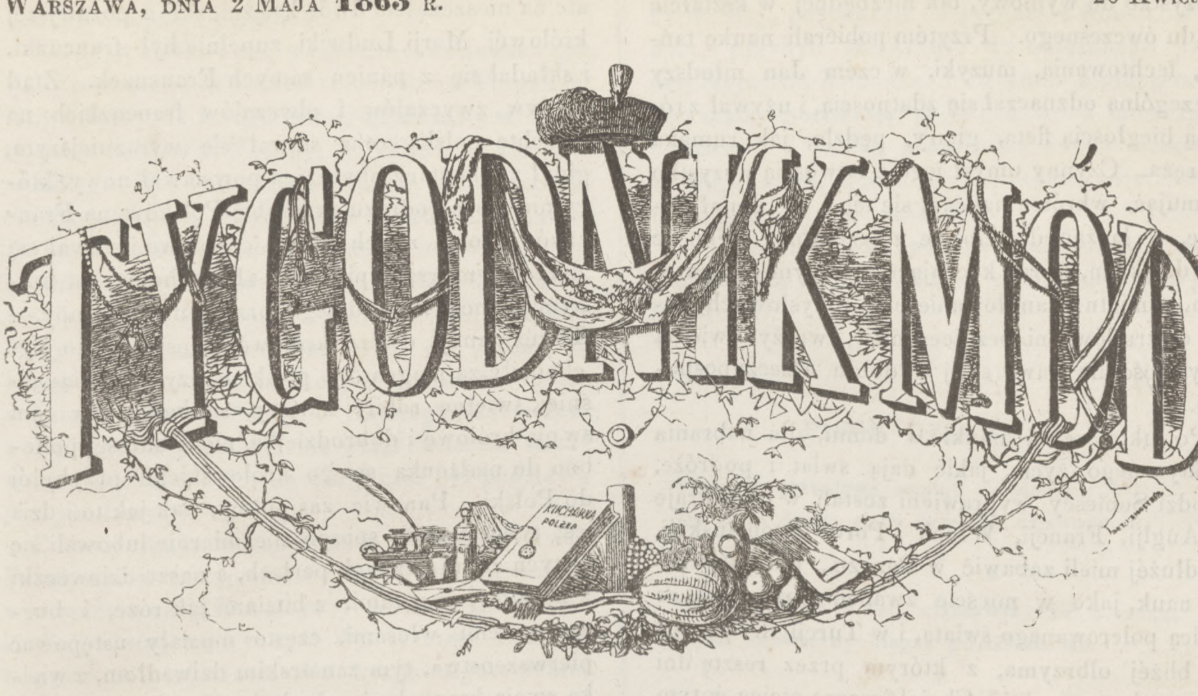
№ 18.

Warszawa, dnia 2 Maja 1863 r. 20 Kwietnia.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*. w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b. dom daw iéj Krzemińskiego.*

DOMOWE SPRAWY

KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Jakób Sobieski pragnąc synom swoim Markowi i Janowi dać odpowiednie wychowanie, godne ich rodu i fortuny, powierzył kierunek onego Stanisławowi Orchowskiemu, światłemu i bardzo zasłanemu mężowi. Instrukcją zaś wychowania udzielił na piśmie, mieszcząc w niéj bardzo trafne i pełne światła rady. Przede wszystkiem przepisuje porządek modlitw i zaleca synom, aby przez całe swoje życie, o ile to być może, każdy dzień rozpoczynali od wysłuchania mszy świętéj. Nie zapominając o głównem ich przeznaczeniu, służenia orężem Rzeczypospolitéj, powiada daléj: Nie chciałbym ja, aby się papinkowato i pieszczenie chowali, i owszem życzę, aby zawczasu żołądek ich przywykał grubym potrawom, których się im da Bóg na wojnach zażywać przyda, a mnie to samemu zepsowano żołądek, że mnie z młodu nazbyt, jako to jedynaka, co się ojcu memu nie chwali, nazbyt pieszczenie chowali.

Mając na baczeniu młodość synów tak pochopną do zabaw i uciechy powiada daléj w instrukcji: Gdy ich na bankiet jaki będą prosić, albo na posiedzenie, kędy białogłowy będą, na miejsca poczciwe i owszem niech idą, niech zdrowi tańcują. Nie chcę ja, aby po łacinie tylko byli mądremi, ale żeby i po polsku byli grzecznemi, wszak się nie do kapicy tylko i sutanny ćwiczyć będą, a jesliby też i do tego stanu którego z nich Pan Bóg powołał, to im wokacji Boskiéj non impediet.

Mówiąc o miłości braterskiéj powiada: téj najbardziéj przestrzegać będzie p. Orchowski, żeby się za młodu bracia miłowali, bez zazdrości, bez swarów: młodszy niech starszego szanuje, a starszy niech młodszego miłuje.

Zalecając synom dobre obyczaje, dodaje wreszcie: a jeżeliby często napomnienia i strofowania nie słuchali, czego o nich nie rozumiem, niech mi da znać p. Orchowski, a ja będę wiedział, co z tym rzec, jest pręt do tego pod którym młodzi rosną.

Sam ojciec bardzo światły człowiek, uczył synów siedmiu języków, historji, i zaprawiał nade

wszystko do wymowy, tak niezbędnéj w kształcie rządu ówczesnego. Przytém pobierali naukę tańca, fechtowania, muzyki, w czém Jan młodszy szczególną odznaczał się zdatnością, i używał z równą biegłością fleta, gitary, pędzla, jak rumaka i oręża. Czynny umysł jego z łatwością wszystko pojmując, wkrótce nauczył się tego, co umiał ojciec, a łącząc dowcip ze zręcznością, piękność z wdziękiem, serce kochające z silnym charakterem, namiętne zamiłowanie prac umysłowych i zapał do trudów i niebezpieczeństw, wróżył świetną przyszłość dla sławy swéj i dobra Rzeczypospolitéj.

Po ukończeniu nauki w domu, dla nabrania praktycznego życia, jakie dają świat i podróże, młodzi Sobiescy wyprawieni zostali w obce kraje do Anglji, Francji, Włoch i Porty Ottomańskiéj. Najdłużéj mieli zabawić w Paryżu, dla ukończenia nauk, jako w mieście zwaném już wówczas stolicą polerowanego świata, i w Turcji dla poznania bliżéj olbrzyma, z którym przez resztę dni walczyć im wypadnie. Chciał jeszcze ojciec w tym samym celu, wyprawić synów do Azji, jako w główném siedlisku hordy pogańskiéj, ale podróż ta nie przyszła jednak do skutku.

Przy odjeździe z Żólkwi błogosławiąc dziatkom w r. 1644, rzekł: Dzieci moje, zajmujcie się we Francji tylko sztukami pożytecznemi, bo co się tycze tańca, będziecie mieli czas do wydoskonalenia się w tym z Tatarami.

W Paryżu młodzi podróżnicy bardzo uprzejmie przyjęci zostali na dworze Anny Austrjaczki.— Ludwik XIV był wówczas jeszcze w kolebce, Francją w imieniu jego rządził kardynał Mazarini, a miłostki i zalotność były jedyną namiętnością rozrywką, potęgą, a nawet wszechwładną modą rządzącą całym światem wyższym. Młodzi Sobiescy urodziwi, dobrze wychowani, pełni dowcipu, zalecający się sławnym rodem i bogactwem, znaleźli zaraz na wstępie wszędzie dla siebie drogę prawie kwieciem zasłaną. Szczególniéj Jana pod tym względem powodzenie było wielkie, mimo tego nie zapominając o zaleceniu ojca, a pragnąc ćwiczyć się w sztuce wojskowéj za pozwoleniem jego zaciągnął się we Francji do kompanji czerwonéj muszkieterów.

W owym czasie w r. 1645 Paryż zachwycał się nieznanym sobie widokiem. Było to poselstwo Władysława IV proszące o rękę Marji Ludwiki, późniejszéj żony Jana Kazimierza, a szczególnéj protektorki panny d'Arquien córki ochmistrzyni tejże księżniczki. Poselstwo to nadzwyczaj świetnie urządzone składało się z 800 osób, do którego przy wjeździe przyłączyli się także i Sobiescy, ale na nieszczęście dwór księżniczki a późniejszéj królowéj Marji Ludwiki zupełnie był francuzki, i składał się z panien samych Francuzek. Ztąd wpływ zwyczajów i obyczajów francuzkich na szlachtę polską coraz stawał się wyraźniejszym, ginął z nim stary obyczaj a powstawał nowy, który nie mogąc odrazu przerobić Polaków na Francuzów, robił z nich nieraz cudactwa i stawał się narzędziem wszczepiającym złe zachodu, na bujnym gruncie wschodniego przedmurza Europy.— To też panny dworu królowéj, dosyć często wychodziły za magnatów polskich, czyli mówiąc jaśniéj, świetne robiły karjery, naśladując w tém swoją królowę i dobrodziejkę, nie z miłości podobno do małżonka swego królewskiego przybyłéj do Polski. Panowie zaś polscy, tak jak to i dziś jest tylko na inny sposób, niezmiernie lubowali się w tych zagranicznych perłach, a nasze dzieweczki z koralowemi ustami, z buziami jak róże, i bursztynowemi włosami, często musiały ustępować pierwszeństwa, tym zamorskim dziwadłom, z wielką swoją krzywdą i szkodą kraju. I tak pożenili się z Francuzkami Krzysztof Pac kanclerz Litewski, Michał Pac dobry żołnierz, Morsztyn wielki Podskarbi, i wielu jeszcze innych, a wielu chętnie choć oczami wciskało się do fraucymeru królowéj, żeby poigrać spojrzeniem z nadobnemi buziami ładnych cudzoziemek.

Pomiędzy wszystkiemi pannami dworu, odznaczała się jednak szczególniéj, Marja Kazimiera d'Arquien, tak względami saméj królowéj, jako też wczesną pięknością, i wcześniejszem jeszcze rozwinięciem się władz umysłowych. Była ona jak powiedzieliśmy, córką ochmistrzyni Marji Ludwiki jeszcze wtenczas kiedy ta zwała się księżniczką de Nevers, zostawszy więc królową, nie tylko że nie przestała kochać z czułością młodą jedenastoletnią dzieweczkę, ale nawet mimo lat jéj dziecięcych wzięła ją z sobą do Polski i otoczyła najtroskliwszą pieczołowitością. I młodziutkie dziewczę idąc w lata rozwijało się w coraz nadobniejszy kwiat, od którego blasku i woni durzeli panowie, magnaci, króle, a nawet ulegała z pewną słabością sama królowa.

Za przybyciem de Polski po odbytéj koronacji w Krakowie, królowa z nowopoślubionym małżonkiem królem Władysławem i całym dworem zaproszoną była do Żółkwi, w Sierpniu r. 1646, gdzie ich Jakób Sobieski wtedy kasztelan krakowski z wielkim podejmował przepychem. Teofila Sobieska matka naszego Jana ofiarowała królowéj złociste naczynie ważące sto mark, ozdobne najkosztowniejszemi medalami cesarzów rzymskich, a królowi i posłowi francuzkiemu margrabiemu de

Brégy, dwanaście koni tarantowatych, powszechnie chwalonych z piękności.

Kiedy w Żółkwi zażywa gościny królewska para, tymczasem Jan Sobieski odwiedza w Paryżu salony księżny de Longueville, zabawia się w towarzystwie bohaterek Frondy, i korzysta z rozmów wielkiego Kondeusza, który choć młody latami, ale stary zdobytą sławą, umiał odgadnąć genjalnego męża w dwudziestoletnim młodzieńcu. Zabawy te młodzieńców przerwała naprzód wiadomość o śmierci ojca Jakóba, który umarł wtedy właśnie kiedy król Władysław zamierzał go wysłać na kongres w Münster, na którym położono koniec wojnie trzydziestoletniéj. Najbieglejszy przeto z dyplomatów polskich, nie wziął udziału w zawarciu traktatu, który na długi czas był podstawą polityki Europy.

Późniéj przyszła wiadomość o śmierci króla Władysława nastąpiona w r. 1648, i o otwartem wystąpieniu całéj Kozaczyzny przeciw Rzeczypospolitéj, którą mądry król Władysław, umiał utrzymać w przyjaźnem dla kraju usposobieniu, a nierozważny upór szlachty poróżnić.

Zanim wieść o tem nowem niebezpieczeństwie kraju doszła młodych Sobieskich bawiących wówczas w Konstantynopolu, Polska zaszumiała wrzawą wojenną, a szlachta z niechęcią po długim pokoju wzięła się do oręża, do czego żadnym sposobem nie mógł jéj namówić przewidujący król Władysław, a pragnący gwałtem upokorzenia wojną Turcji, jako wówczas najniebezpieczniejszéj sąsiadki. Wszystkie w tym celu przygotowania porobione przez króla Władysława wewnątrz kraju, stosunki dyplomatyczne zawarte ze wszystkiemi niemal monarchjami europejskiemi, przyrzeczone przez nich pomoce zbrojne i pieniężne, rozbiły się o niechęć szlachty do wojny. I upór zwyciężył mądre postanowienie króla, wojna zaniechaną została, Turcja ocalała, a krwawe rozterki domowe, tylko czekały śmierci królewskiéj, żeby wybuchnąć w całéj swéj okropności.

Wprędce też Kozaczyzna pod dowództwem Bohdana Chmielnickiego połączona z Tatarami za poduszczeniem Turcji, wydała hasło do napadu; szlachta rozpieszczona długim pokojem zgromadziła się wprawdzie na obronę kraju, ale niedaleko Oleska pod Pilawcami, panicznym dotknięta strachem poszła w haniebną rozsypkę, zostawiając prawie całą Polskę wolnym otworem dla nieprzyjaciela. Szlachta z sąsiednich okolic, szukając schronienia przed niebezpieczeństwem ukryła się w murach warownego Zamościa, do którego przybyła także matka naszych Sobieskich Teofila razem z dwoma córkami. Usłyszawszy o klęskach kraju Marek i Jan Sobieski, zaniechawszy podróży do Azji, pośpieszyli co prędzéj z Konstantynopola, i przybyli szczęśliwie do oblężonego przez nieprzyjaciela Zamościa. Tu padli z płaczem do nóg matki pocieszając ją w grożącem niebezpieczeństwie, a Teofila nieodrodna wnuka wielkiego Żółkiewskiego, kładąc ręce z błogosławieństwem na głowach synów, rzekła:

— „Nie będę was znać za synów moich, jeżeli staniecie się podobnemi tym, co się znajdowali pod Pilawcami.”

(d. c. n.)

PIEŚŃ DZIEWICZA.

Strumień przepływa zwolna po dolinie,
Dzień za dniem cicho przemija dziewczynie.

*
* *

Strumień znikł w dali, złączywszy się z rzeką,
Myśli dziewczyny biegną gdzieś daleko.

*
* *

Brzeg odbijają wody zwierciadlane,
Bujna myśl tworzy postacie nieznane.

*
* *

Strumień wschodzące słońce niesie w łonie,
W oku dziewczyny nieznany blask płonie.

*
* *

Wtém nad strumieniem chmury słońce skryły,
Oczy dziewczyny łzami się zaćmiły.

*
* *

Wiatr spędzi chmury, znów słońce zawita,
Lecz kto łzy otrze, o przyczynę spyta?....

Seweryn Zaleski.

---

*
* *

Dzisiejszą z Wami rozmowę nie rozpocznę od opisu młodziutkiej wiosny uśmiechającéj się ponętnie zielenią Saskiego ogrodu, radującéj się tęsknemi tonami wierzbowych fujarek, szczebiotem skrzydlatéj rzeszy, bocianim klekotem, i purpurowym blaskiem promieni słonecznych. Nic także nie wspomnę o majowych wycieczkach Warszawiaków na Saską Kępę, ani o bajeczkach i ploteczkach brukowych i frasunku ludzi nie wiedzących, co z sobą robić.... ale odrazu przejdę do zaczepki Kurjera Niedzielnego, o któréj Wam w ostatnim numerze wspominałem. Robię to jednak nie dla

tego, aby brutalska ta napaść godną była mego pióra a Waszéj uwagi.... podobne bowiem niesforne wrzaski zwykle pomijam milczeniem, ale przez poszanowanie dla sztuki, którą radbym widzieć u nas rozwijaną w jak najwłaściwszym i najpiękniejszym kierunku.

Był czas kiedy mniemano, że dramatyczność spoczywa tylko w bezecnych scenach, pełnych okrucieństw, mordów, śmierci i wszelkiego rodzaju katuszy i idąc za tém pojęciem, powieści przepełniano różnemi obrazami męczeństw wprowadzanych bohaterów, na deskach zaś teatralnych przedstawiano tortury, krajanie ciała ludzkiego, a nawet nieboszczyków w trumnach. Z rozwinięciem się oświaty i przez to z uszlachetnieniem gustu, niemiłe podobne obrazy, w powieści zajęły, jeżeli nie drugorzędne miejsce, to przynajmniéj nie przekraczały granic prawdy, i przestały być głównym celem dla piszącego autora; na scenie zaś skryły się za kulisy. Uznano bowiem, że dramatyczność nie spoczywa tylko w scenach przejmujących dreszczem, strachem lub wstrętem; ale zarówno i w obudzających rzewne, tęskne wrażenie i napełniających serce uczuciem pewnéj dumy z zacnych czynów przeszłości.

Przeobrażenie podobne pojęcia dramatyczności w literaturze, uznane za właściwe, zarówno stosowane być powinno i w malarstwie, a choć nie wyłącza z niego scen okropnych i przerażających, to ułagodzenie ich pozostawia artyście, przez sposób traktowania obranego przedmiotu, aby ten stanowiąc tylko tło obrazu, posługiwał do uwydatnienia, jakiéj piękniejszéj, wznioślejszéj myśli.

I tak Ś. Karol Boromeusz w pośród zmarłych z morowéj zarazy, Napoleon I odwiedzający szpital na Jafie, nawet postacie chrześcijańskich męczenników w chwili najsroższych katuszy, podobać się mogą i podobają, i na zawsze zostaną pięknemi, bo artyści za główne zadanie do przedstawienia w nich, nie wzięli okropność moru, niemiły widok szpitalu z choremi i umierającemi, lub boleść męczenników wyciskaną srogością tortury, ale chrześcijańskie poświęcenie Świętego, spokojność i odwagę Napoleona, i tryumf wiary męczenników. Gdyby postacie te drugie miejsce zajmowały w obrazie, a pierwsze trupy, chorzy lub narzędzia katuszy w działaniu, czyż moglibyśmy nazwać je pięknemi, choćby pędzlem kierowała ręka największego genjuszu, chociażby pod względem prawdy i wykończenia, najmniejszego nie można było zrobić zarzutu?

Z tego wychodząc stanowiska, a robiąc wzmiankę o malarstwie nie pochwaliłem temata obrazów takich, jak: Nero na ruinach płonącego Rzymu, stanowiącego sądząc z tytułu główną myśl obrazu:— Morową zarazę: — Kato wypruwający z siebie wnętrzności. — Smierć Barbary. — Urszulkę Kochanowską w trumience. — Otrucie Bony jako scenę zmyśloną, a nawet Glińskiego w więzieniu, jako bolesny fakt z naszéj przeszłości, nie pozbawiony przecie rzeczy daleko wznioślejszych i dramatyczniejszych.

Czemże bowiem do duszy i serca ludzkiego mogą przemówić: krwiożerczy tyran pławiący się we krwi chrześcijańskiéj, wykrzywiony boleścią Kato, trupy niewiasty i dzieciny, choćby Barbary i Urszulki?

Wprawdzie mogą to być rzeczy, z największym wykonane talentem, wypracowane z drobiazgowością godną podziwienia, z najwybredniejszemi nawet wymaganiami sztuki, ale czyż w malarstwie jak w literaturze, myśl nie jestże duszą dzieła każdego artysty, a artyzm jego ciałem?

Wyrażenie się Kur. Niedź. że chcąc być logicznym krytykiem, to ganiąc powyżéj wymienione obrazy, trzeba zacząć od potępienia Dantego, Szylera, Bajrona, Słowackiego, jako tworzących najczęściéj straszne i piorunami namiętności oświecone obrazy, — nie ma żadnéj zasady.

Wyobraźnia bowiem poety, działając w obszerniejszych szrankach, wywołuje do czynności wszystkie czucia i namiętności człowieka, łączy je, ściera; w téj grze myśli podniesionych do ideału, snuje pieśń tryumfu dla prawdy, cnoty lub poświęcenia, i jeżeli podnosi złe, to jedynie dla tego, żeby dobre uwydatnić.

Malarz może pędzlem uplastycznić jednę tylko chwilkę z wielkiego dramatu ludzkości, jedno poruszenie duszy, nie dłuższe często jak mgnienie oka, niechże więc te chwile będą prawdziwie piękne, wzniosłe, lub posługujące do przedstawienia piękności wymarzonéj w duszy artysty. Krwiożerczym Neronem tego nie dopełni, trup niczem innem nie przemówi, tylko zgnilizną i stęchlizną grobu, konwulsyjnie zaś wykrzywiony Kato prędzéj zniechęci do malarstwa, jak do nich pociągnie. Malarstwa zaś inne wznioślejsze jest przeznaczenie, i dlatego nigdy nie powinno zapominać, że należy do sztuk, które nazwano pięknemi.

Kurjer Niedzielny na uwagi jednak moje w tym przedmiocie pomieszczone w 15 numerze Tygodnika, powstał z ogromnym ferworem, i nazwawszy je *herezją artystyczną*, napisaną *tonem rubasznym, ze stanowiska kapotowo zamaszystego*, raczył w końcu oświadczyć, że uwagi te są *srodze niedorzeczną recenzją*. Dzisiejsze zatem rozumowanie, Kurjer Niedzielny, zapewne wprost nazwie.... (wy-

baczcie moje Czytelniczki), głupiemi... niech i tak będzie, nie obrażę się o to, i w tym względzie zupełną zostawiam mu swobodę. Co do dowcipków, któremi starał się upstrzyć swoją napaść, tych Szanownemu Kurjerowi Niedzielnemu nie zazdroszczę, dziwię się tylko, że umie i może jeszcze dowcipkować. Mimo zaś całego owego ferworu, w tak brutalski objawionego sposób, mogę zaręczyć, że oglądając często owych Neronów, Katonów, Barbary, Urszulki i t. p. pomimo obrony Kurjera Niedzielnego, prędzéj można przy nich zwarjować, jak pokochać malarstwo i do niego zatęsknić.

Wreszcie spytajmy ogółu, co sądzi nie o wykonaniu tych i podobnych obrazów, ale o myśli, którą sobie malarze do nich obrali, a pewny jestem, że mi poparcia nie braknie. Wprawdzie Kurjer nie zaniedba w takim razie oskarżyć o brak znawstwa wszystkich, co z nim różnią się w zdaniu, że sztukę należy sądzić w oderwaniu od wszelkich względów ubocznych, samą w sobie; ale sztuka nie jest dla sztuki, tylko dla ludzi, i zarówno powinna dbać tak o wierność wykonania, jak i o myśl jéj przewodniczącą. Malarz nie łączący z sobą tych dwóch warunków, będzie albo nieznośnym pedantem, czasem lata trawiącym nad wymalowaniem trzonka od miotły, albo lichym malarzem wyższym pomysłem, niż umiejętném prowadzeniem ołówka i pędzla. Malarz zaś prawdziwie wielki artysta zawsze w pracach swych łączy myśl piękną z wybornem jéj wykonaniem, i dlatego to prace malarzy z dwóch tych względów powinny być sądzone z pomysłu i z wykonania.

Kurjer Niedzielny przed przystąpieniem do niesfornych wrzasków na sprawozdawcę Tygodnika Mód, wprzódy obszernie się rozgadał o krytyce u nas malarstwa przed laty kilku, która stawszy się modą, przepełniała można powiedzieć, aż do znudzenia, kolumny pism perjodycznych. Oświadczywszy, że dwa sądy istnieją u nas dla ocenienia prac artystycznych, jeden surowy bezwzględny, drugi admirujący i płytki: że obadwa te sądy wydawane są zwykle przez ludzi niekompetentnych; że krytyki na serjo dotąd być nie mogło, że artyści skutkiem tego musieli poprzestawać na własném poczuciu piękna, publiczność jednak, która tego poczucia nie miała, potrzebowała przecieć czegoś zastępującego gruntowną krytykę; powiada w końcu, że Gazety zrozumiały tę potrzebę ogółu i utworzyły tak zwane sprawozdawcze o sztukach rubryki; *zastępując jaskrawością stylu lub ciepłem słowem, to czego im brakowało do gruntowciejszego rzeczy ocenienia.*

Przyznam się z calą szczerością że sprawozdania a tym bardziéj krytyki, zastępującéj rzecz, *jaskrawością stylu, lub ciepłem słowem* zupełnie nie pojmuję. To też owe s. p. sprawozdania krytyczne o sztukach, dla wszystkich rzeczywiście były niepojętemi; nie rozumiała jéj publiczność czytająca, nie rozumieli artyści, i co najważniejsza nie rozumiał ich sam piszący. Uwagi moje, na które Kurjer Niedzielny z takiém powstał brutalstwem, jakkolwiek nie roszczą sobie pretensji do tytułu krytyki, bo wyłącznie zajmują się tylko tematami prac malarskich, a nie częścią ich techniczną, jednak jasno określają czego chcą, do czego dążą.

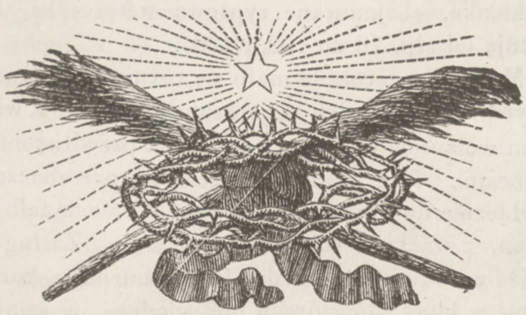
Na tém zamykam odpowiedź na napaść Kurjera Niedzielnego, którą ponowioną, choćby z całym przyborem frazesów dowcipkujących i kolących, pokryję milczeniem. Pola więc do popisu dla kulejącego pegaza Kurjera Niedzielnego nie braknie, a mając go, pewny jestem że ze swobody téj nie zaniedba korzystać.

SZARADA.

Drugie to zadanie, nie trudne wcale,
I obcem w istocie, nie jest nikomu,
Pierwszy trzeci, zwykle wychodzi z domu,
Wszystek jest rodzajem, żadnego ale.

T. A.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Kroniki**).



Nadeszły wreszcie do magazynu pana Szlenkera niektóre nowe przedmioty, a szczególniéj ładne okrywki tak jedwabne jak i wełniane. W ogólności dwa rodzaje okrywek najwięcéj będą w tym roku używane, małe paletociki i burnusy rozmaitéj długości. Paletociki noszą bardzo krótkie, zapinane na dwa rzędy guzików, obejmowane po prostu pliską, lub szamerowane wstążeczką rypsową. Burnusy za to bywają niekiedy długie aż do ziemi, przybierane gipiurą lub pasmanterją.

Noszą także krótkie burnusiki, zwane Talmy albo rotondy, cokolwiek przedłużone w tyle. Talmy takie robią zazwyczaj z kaszmiru czarnego podbite lekką materją ogarnirowane podwójną falbaną koronkową. Uważaliśmy także i talmy mantynowe, bez żadnego garnirunku, z małym kołnierzykiem wygarnirowanym falbaneczką. Cena ich od złp. 100; im lepszy gatunek mantyny, tém cena wyższa stosunkowo.

Długi burnus czarny mantynowy, przybrany był na plecach grubym sznurem jedwabnym, zakończonym kwastami. Inny zwany *Pompadour*. miał naszycie z koronki tworzące jakby chustkę, koronka przytwierdzona była pasmanterją, z pacioreczkami z lawy. Ładny był także burnus jedwabny fałdowany z tyłu, naszyty koronką, która odznaczyła pelerynę.

Z wełnianych długich burnusów podobał nam się bardzo rypsowy w wybornym gatunku, zwany *maréchal*. U doło szła fałdowana falbanka z główką, obszyta wązką gipiurką, na ramionach zdobiły go epolety z szerszéj gipiury.

Odznaczał się także gustem, burnus średniéj długości, z lekkiego sukienka czarnego, ogarnirowany do koła ruszą sukienną strzyżoną w maszynie. Cena jego złp. 106 gr. 20.

Są także ładne burnusy z wełnianéj czarnéj tkaniny, przerabiane; białym jedwabiem, bardzo niewydatnie tak że na pierwszy rzut oka zdają się zupełnie czarne. Burnusiki te objęte wkoło plisą jedwabną. Cena ich po złp. 100.

Dostanie w tejże cenie paletocików z takiegoż samego materjału. Czarne paletociki z cienkiego sukienka, obejmowane rypsową wstążeczką, kosztują od złp. 70 do 100, i 120.

Mantyle tegoroczne mało się różnią od dawniejszych. Jedne z nich mają kształt chustek, z wielkim wolantem do koła, z przodu z przedłużonemi końcami. Inne zwane *châle écharpe*, przeznaczone wyłącznie do ubrania, przybrane są trzema falbankami, z wązką koroneczką u brzegu. Zasługują także za wzmiankę bardzo ładne burnusy korcikowe w kliny, do których pod spodem, w samym stanie przyszyte są tasiemki do przywiązywania, przez co burno wpada zgrabnie do figury. Burnusów takich dostać można u pana Dziechcińskiego na rozmaite ceny.

W magazynie panien Kuhnke widzieliśmy kilka ładnych sukien, których tu opis podajemy.

Suknia fularowa czarna, w biały rzucik grecki, miała spódnicę z wązką falbaneczką ze wstążki czarnéj, na dwa palce. Stanik marszczony wkoło spięty na lawowe guziki, przepasany był pasem szwajcarskim. z trzema zębami z tyłu, i odwróconym bawetem na przodzie. Na środku pasa z przodu, przypięta była kokarda z wązkiéj wstążki, złożona z pięciu pukielków, spadających na dół. Rękawy ścięte od łokcia cokolwiek roztwarte u ręki, wygarnirowane były ruszką, mantynową fałdowaną w pojedyncze fałdy, która otaczała brzeg rękawa, i przechodziła w podłuż do ramienia. Pacha obszyta była wkoło podobnąż ruszką, przez środek ruszki dana była wązka plecionka biała z czarném.

Suknia mantynowa czarna, miała u dołu wązką falbankę z wstążki z białym brzeżkiem. Stanik gładki, bez bawetu, spięty na guziki, naszyty był potrójnie frendzelką czarną z białem, odznaczającą jakby grecki kaftaniczek. Z przodu w miejscu gdzie się stanik spinał, szły rzędem trzy kokardy z czarnéj wstążki z białym wązkim brzeżkiem. Rękawy składały się z podłużnych klap, przechodzących od ręki do ramienia i z buffy przemarszczanéj w poprzecz i przepinanéj trzy razy frendzelką białą z czarnem. Rękawy te cokolwiek otwarte u ręki, podbite były białą materją, i wygarnirowane białą ruszką od spodu.

Suknia popelinowa czarna, zakończona była u dołu wazką fałdowaną wstążką, oddzieloną od spódnicy białą wypusteczką jedwabną. Miejsce stanika zastępował długi kaftan do figury, otwarty i zaokrąglony z przodu, wygarnirowany wkoło odpowiednio fałdowaną wstążeczką. Pod to szła osobna kamizelka mantynowa czarna, spięta na lawowe guziki z białemi żyłkami. Rękawy ścięte od łokcia, nie zbyt szerokie, przybrane były u dołu i w podłuż falbanką i wypustką białą.

Podobała nam się szczególniéj suknia czarna z wełnianego fularu, ogarnirowana u dołu dwoma ruszami układanemi w pojedyncze fałdy. Przez środek każdéj ruszy przechodziła wązka aksamitka. Stanik gładki, spięty na guziki szmuklerskie miał przody ubrane takąż ruszą. Rękawy cokolwiek otwarte ścięte od łokcia wygarnirowane były odpowiednio. Do zarzucenia na ulicę, służył okrągły burnusik, zwany Talma, z tegoż samego materjału, obszyty podobną ruszą do koła.

W tymże magazynie zwróciły uwagę naszą, bardzo zgrabne paletociki mantynowe, ogarnirowane wązką gipiurką, z kołnierzykiem marynarskim i okrągłemi kieszonkami po bokach.

Podobał nam się też bardzo, watowany paletot, z materji zwanéj *Venitienne* podszyty lekką materją, spięty na podwójny rząd guzików, przybrany z przodu gipiurą, klapy u rękawów i kieszenie odpowiednio były przystrojone.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode. Kapelusiki okrągłe coraz się częściéj ukazują, z pomiędzy nich zasługuje na wzmiankę tak zwany kapelusik *Alexandra*, z słomy ryżowéj, podniesiony z jednego tylko boku, ozdobiony piórem strusim i wstążką. Niektóre kapelusiki zdobią skórzanym paskiem, nabijanym stalowemi gwoździkami.

W ogólności wszelkie wyroby skórzane należą w tym roku do najmodniejszych. Mówiliśmy już o paskach z gwoździkami, dziś musiemy wspomnieć mnóstwo innych przedmiotów ze skóry jakie się codziennie pojawiają. Widziemy naprzykład wycinane girlandy z kwiatów i liści, albo szlaki gotyckie najpiękniejszego rysunku, przeznaczone do obszycia sukien i spódnic. Tego rodzaju ozdoby spostrzegamy wszędzie nawet na okrywkach i kapeluszach, a kiedy są umieszczone z gustem, nic im nie można zarzucić.

Paletociki marynarskie zwane w roku zeszłym *saute en barque*, będą ciągle używane, uległy tylko małém zmianom. Robią je cokolwiek bardziéj przystające do figury, i krótsze jeszcze niż dawniéj. Peleryny czyli rotondy, takie same jak suknia, ogólnie się podobają. Noszą także baskiny jedwabne przybrane pasmanterją.

Nowego rodzaju ozdoby szmuklerskie, powszechnie dziś używane, składają się z medaljonów naszywanych na staniku i rękawach, a niekiedy i na przodzie spódnicy.

Chustki i okrywki, z czarnéj wełnianéj koronki zwanéj *Lama*, noszone będą bardzo w tym roku. Używają także chustek z grenadiny czarnéj, z takimże wolantem.

Fulary w drobny deseń, stanowią najmodniejsze ubranie wiosenne.

Les modes parisiennes. Na okrywki letnie, noszone będą rotondy okrągłe czarne, na podszewce lub bez niéj; strojniejsze objęte będą gipiurą.

Suknie codzienne z alpagi angielskiéj czarnéj lub popielatéj powszechnie się podobają.

Rękawki pod spód, zmieniły stanowczo formę. Nie noszą już szerokich buf jak dawniéj, ale płaskie rękawki, ścinane od łokcia, wygarnirowane walansienką lub tiulikiem na mankiecie. Robią także rękawki tiulowe, naciągane w odstępach na aksamitkę czarną, którą przewłóczą, przez wszywki ażurowe.

Małe chusteczki koronkowe, zwane fanszonikami, ulubione są Paryżankom, noszą je koronkowe czarne lub białe, stosownie do upodobania, niektóre zdobią na wierzchu kokardą ze wstążki.

DONIESIENIA KSIĘGARSKIE.

KSIĄŻKI DLA LUDU

WYDANE NAKŁADEM

Redakcji Gazety Rolniczéj.

1. *Katechizm rolniczy* dla młodzieży wiejskiéj, przez Wincentego Darowskiego, (Wydanie 2), Warszawa, 1861. . . . . Złp. 3.
2. *Nauka obyczajowa* dla ludu wiejskiego, podług księdza Grzegorza Piramowicza, wydana na nowo w 1862 roku w Warszawie, gr. . . 20.
3. *Powieści dla ludu*, przez Jana Kontrymowicza, z trzema obrazkami, Warszawa 1862 złp. 1.
4. *Kalendarz* czyli *Noworocznik*, dla ludu Polskiego, z wieloma obrazkami, na rok 1863 (wydany w Warszawie). . . . . złp. 1.
5. *Włościanin Polski* czyli gospodarstwo wiejskie, wyłożone na pytania, dla użytku mniejszych gospodarstw i szkół rolniczych, przez Zygmunta Gawareckiego. Warszawa, 1862 złp. 6 g. 20.
6. *Komornica* czyli tajemnice z życia wiejskiego, przez Walerego Wielogłowskiego, (wydanie 2). Kraków, 1862. . . . . złp. 5.
7. *Pszczolarz Polski* czyli przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych, zastosowany do potrzeby pojęcia braci z ludu, przez Józefa Znamirowskiego, z 64 obrazkami, cena złp. 10, (pod prassą).
8. *Drobnostki gospodarskie*, przez Józefa Gluzińskiego. Warszawa, 1860 r. . . . . złp. 4.
9. *Obrona świętéj Częstochowy*, przez Józefa Szujskiego. Warszawa 1863 . . . . gr. 6.

Wszystkie te książki kosztują złp. 31 i groszy 16. Redakcja jednak *Gazety Rolniczéj*, tak dla swoich prenumeratorów, jako i dla prenumeratorów *Tygodnika Mód*, mianowicie dla tych co wprost wszystkie te dzieła wypiszą, przez pośrednictwo nadesłania pieniędzy do Redakcji, zniża te ceny na rs. 4 i jeszcze własnym kosztem przesyłkę uskuteczni, czyli że obniża cenę o $^1/_3$.

Opis ryciny.

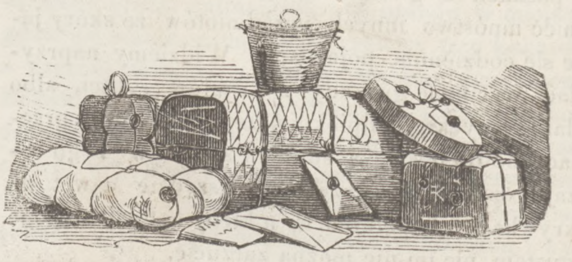
Figura 1. Suknia z czarnego wełnianego fularu z szeroką falbaną układane w duże kontrafałdy. Każdy fałd i między fałdami naszyte są kwadraty

z wązkiéj aksamitki w kratkę, garnirowane wązką falbanką. Na jedwabnéj sukni kwadraty z aksamitki obszyć można koronką. Stanik o dwóch bawetach z karczkiem postyljońskim naszyty aksamitkami. Rękawy wpółotwarte. Paltot sukienny fałdowany z tyłu i wpadający do figury wyszyty pletniami. Kapotka czarna jedwabna. marszczona ubrana koronką i aksamitem. Kołnierzyk i rękawki gładkie webowe.

Figura 2. Suknia czarna jedwabna w rzucik obszyta u dołu wąziuchną falbanką, powyżéj frendzlą jedwabną z kwastami i rozetami z koronki. Stanik gładki w ramionach i w pasie obszyty również frendzlą nieco węższą jak na spódnicy. Rękawy paltotowe garnirowane falbanką. Kapelusz czarny jedwabny, pikowany i haftowany w kratkach jedwabiem. Karczek aksamitny czarny. Podpięcie z białéj blondynki i kwiatów czarnych aksamitnych. Kołnierzyk i rękawki z nanzuku.

Ubranie 5-cio letniéj panienki. Suknia wraz z bluzką z tybetu popielatego, u dołu obszyta jest pięć razy czarną aksamitką i z boków wzniesiona na szerszéj aksamitce. Spódniczka pod spodem z czarnéj i białéj tkaniny wełnianéj z aksamitną falbanką. Kapelusz marynarski z czarnego tybetu ubrany piórami.

DONIESIENIA.



Na kościół Panien Marjawitek, przeznaczono od J. Butle. złp. 21 gr. 5.— Pani Karo. Le. Na suknie letnie bardzo dobry jest fular czarny wełniany, bez żadnego połysku, dwa łokcie szeroki po złp. 6. Szale kaszmirowe nadzwyczaj używane, cena ich od 60 do 120 złp.— Pani Wero. Kra. Spódniczki wełniane w białe i czarne paski, dostać można za złp. 40; naszyte szlakiem aksamitnym dochodzą do 80 złp. — Pani Ludwi. Wro. Garybaldki tybetowe używają ciągłéj wziętości. — Pani Kamil. Nie. Do wełnianych sukien najwłaściwsze kołnierzyki i mankiety webowe. Cena ich od złp. 2 do 3 gr. 10.— Pani Weroni. Zabo. Do bareżowéj sukni najlepiéj zrobić rękawy zapięte przy rękach, aby drugich rękawków nie kłaść pod spód.— Pani Lu. Reg. w Horyczkowie. Przyjaciela Zdrowia prenumerować można rocznie lub półrocznie. Prenumerata półrocznie wynosi rs. 2 kop. 46 $^1/_2$. Pisma tylko takie mogą być wysełane w kopertach Tygodnika, które w tych samych perjodach wychodzą.— Panu Dor. P. w Czarnymbatorowiu. Żądane N-ra można odebrać z końcem półrocza, z Redakcji odchodzą najregularniéj, zalegać muszą tylko na Stacji Pocztowéj. Mappy w polskim języku, dostanie exemplarz od złp. 3. Mappa Królestwa Polskiego, Kolberga bardzo dokładna, kosztuje złp. 73 gr. 10.— P. Tek. Obry. w Czahujewie. Sprawunki i rachunek przesłaliśmy.— Pani J. Słot. Od kupna sprawunków pozostało złp. 3 gr. 22.— Pani C. Jel. Od kupna sprawunków pozostało złp. 1 gr. 26.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

№ 18.

Dodatek do Nru 18 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 2 Maja 1863 roku. *20 Marca.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ II.

(Dalszy ciąg).

Stanisław przyłamanym ołówkiem grube rzucał cienie.

— I ta przyjaźń z tém dziewczęciem gajowego, wcale nie na guwernantkę! — zżymała się pani domu.

— Panna Jarosławska zajęła się jéj umysłowém wykształceniem — wtrąciła Klementyna na uszczypliwie.

— Niedorzeczność!

— Filantropija! — zawołał Łasiński z ironiją.

— Czy mąż mój nie mówił panu, że Mrowin należał do jakiejś pani Jarosławskiéj? — zwróciła się pani Rożniszewska na raz jeden do Stanisława.

— Nie, pani dobrodziejko odrzekł Stanisław, rysując właśnie piejącego kogucika — lecz to dla państwa powinno być rzeczą objętną zupełnie.

— Ja tak samo twierdzę — przemówił Łasiński.

— To też nie o to chodzi, ale że nam nic o tém nie wspomniała.

— Cóż tam taka nauczycielka domowa! — ruszyła Klementyna ramionami — nie bywa przypuszczoną do żadnych *intimités*, do żadnych bliższych stosunków, i od niéj też nie wymaga się żadnych *confidences*,

— A mówić o Mrowinie, pewno jéj sprawia przykrość niemałą — ozwał się Stanisław, nacisnął przytem ołówkiem i papier przedarł.

— Ej, niema tam o co głowy łamać! rzucił Łasiński — pani dobrodziejka jesteś zanadto *delikatnych* uczuć, zanadto względną, i chciałabyś, ażeby wszyscy byli takimi, a to nie idzie: murzyna nikt nie umyje. Ot, zaproponowałbym raczéj, dla odwrócenia myśli, *wiścika*: czy panie zgadzają się na to?

— Owszem — odrzekła pani *delikatnych uczuć*, widocznie rozjaśniona, bo miała *wiścikową passyjkę* — i Klementyna niby od niechcenia głową kiwnęła.

Stanisław powstał i zmiął w ręku swój rysunek.

— O, szkoda! — zawołał Łasiński — nie należy tak niebacznie niszczyć utworów fantazyi swojéj.

— Zły to narów, to bazgranie, lecz mam go z dzieciństwa.

W chwili potém pan Stanisław został partnerem panny Klementyny, a pan Łasiński samejże pani domu.

Z notatek Anny,

30 września.

„Wczoraj byli tu państwo Zdarnowscy — zdaje się, że to bardzo zacni, poczciwi są ludzie. Sama pani, jak to mówią, *swojego jest chowu*, nie wiele znać w niéj wykształcenia, ale dużo naturalnego rozumu — i, co więcéj jeszcze znaczy, bardzo wiele serca: niesie widocznie każdemu najszczerszą życzliwość. Pan Zdarnowski ma imię wielce prawego obywatela. Szkoda, że tak rzadko w Trocku bywają — podobno nie więcéj, jak dwa razy do roku.

Po co też istnieją te jakieś linije *demarkacyjne* społeczne? Utrudniają tylko wszelkie towarzyskie stosunki, rodzą niesmak, niechęć, gorycz — a niekiedy i nieprzyjaźń. Ludzie sami stawiają szranki przyjemnościom życia — a niekiedy i szczęściu własnemu, z powodu tych jakichciś warstwowań, i niewiedzieć jakich tam jeszcze uprzedzeń, wzrosłych na dumie lub próżności."

W pierwszych dniach października nadszedł list od pana Rożniszewskiego z Krakowa, w którym

donosił, że jadąc na Mrowin — gdzie dni parę zabawi — wkrótce do Trocka zawita.

W półtora tygodnia potém Anna chodząc pomiędzy klombami zajazdu, posłyszała trąbkę pocztarską, a po chwili wjechał opakowany pojazd na dziedziniec, zatrzymał się przed pałacem— i wysiadł z niego wysoki, przystojny mężczyzna; Anna domyśliła się od razu, że to był pan domu.

Klocia, która ją na chwilę była odbiegła, przyskoczyła pierwsza i rzuciła się w objęcie ojca. Pospieszyła służba, przydążył Łasiński, a w sieni ukazała się pani Rożniszewska i Klementyna. Zaprowadzono przybyłego do salonu. Anna udała się daléj w ogród, niechcąc przeszkadzać tym pierwszym chwilom rodzinnego powitania.

Gdy weszli do salonu, zapytała pani Rożniszewska:

— A cóż stało się z Alfonsem? Myślałam, że z tobą powróci.

— Ale gdzież tam! — odrzekł przybyły — zaproszony został na polowanie do księcia Ignacego, a ztamtąd jedzie kilka z pierwszéj młodzieży do Drezna, więc oczewiście on z niemi.

Pan Rożniszewski lubił pochlubić się z czemś podobnem. Byłto, jakeśmy już powiedzieli, przystojny a nawet pię kny jeszcze mężczyzna, pomimo lat sześćdziesięciu wieku; rysów twarzy wydatnych i regularnych, i płci delikatnéj. Oczy miał duże, ciemne, usta kształtne, zęby białe i zdrowe; nie nosił wąsów, tylko starannie ułożone bokobrody, włosek przy włosku, nieco tylko szpakowate— lecz pofarbowane. Toż samo i włosy ponad skroniami przypalone troszkę, były umuskane troskliwie. Ręce miał wypieszczone, bielutkie, paznokcie wyskrobane — i nosił wielki pierścień herbowy. Ubierał się z wytwornością i używał obficie najwyborniejszych kosmetyków i pachnideł.

Pan Stanisław otrzymał taże zaproszenie na to polowanie — ozwał się Łasiński.

— I pojedzie? — pan Rożniszewsi zasiadł fotel poważnie i przyglądał się paznokciom swoim.

— Odmówił.

— On tak jest zajęty budowlą domu i gospodarką — ozwała się pani Rożniszewska, a Łasiński jednocześnie pannie Klementynie nieznacznie poszepnął:

— Silniejszy to przytrzymuje go magnes, aniżeli budowla i gospodarstwo.

Panna pogroziła mu zlekka i uśmiechnęła się.

— A daleko też tam zaszła ta *restauracya*? — zapytał pan domu.

— Idzie to troszkę oporem a nudno — odrzekł Łasiński — pan Stanisław daje parę ścian nowych, przybudowywa salon i dwa pokoje, a na piętrze cztery. I zawsze tam jeszcze jakiś nowy przyjdzie mu pomysł.

— To więc przed zimą nie wykończy?

— Zapewne że nie .... radby był z duszy.

— Bo ma i niewygodę w téj oficynce — pan Rożniszewski rozłożył się w miękim fotelu, wyciągnął nogi, obute w lekkie francuzkie trzewiki, rozwinął przewoniony fular i otarł nim czoło.

— Pan Stanisław, co do swojéj osoby, to *abnegat kompletny*. Bardzo to *dystyngowany* młodzieniec:

— Alfonsek także pewnie ma niewygodę w Mrowinie? — zapytała matka.

— Niekoniecznie. Ma kilka pokoi urządzonych z *confort'em*. To dobry jest dom, dworzysko wielkie, a może być i wygodne. W ogrodzie także już coś zrobiono, aby przynajmniéj wyglądało po ludzku — pan Rożniszewski ziewnął, dobył srebrną *bonbonierkę* i wziął z niéj parę pastylków *Vichy*.

— Ale!... Ani zgadniesz kto jest guwernantką Kloci — zaczęła małżonka — bo i myśmy się o tém dopiero dowiedzieli niedawno.

— Jakto! Któż więc?

— Córka przeszłéj dziedziczki Mrowina.

Pan Rożniszewski poczerwieniał nagle, poruszył się na fotelu — i wymówił przeciągle:

— Pani Jarosławskiéj?

— Tak. I to wcale niemiłą jest rzeczą.

— Cóż z tego! — pan Rożniszewski znowu czoło fularem potarł. — Jeżeli tylko jest osobą zdolną, wykształconą, a bez fochów i pretensyi.

— O, bardzo dobra, tatko! — zawołała Klocia, obojmując ojca za szyję — i bardzo mi dobrze uczyć się przy niéj.

— A to *bene*, i niepotrzeba więcéj.

— Nie chcę też innéj!

— Skryta, zacięta, nic nam nie powiedziała, że Mrowin do nich należał — ozwała się matka.

— To i cóż miała powiadać! — zawołał Łasiński — nie było i bardzo pochwalić się z czem, że matka, a pewnie jeszcze i ojciec, fortunę z dymem puścili.

— Kiedy pierwszy raz była mowa o Mrowinie — przemówiła Klocia — to panna Anna o mało, że nie zemdlała, i wyjść musiała z salonu.

— Ba, żal jéj było przeszłości! — zawołał Łasiński.

Pan Rożniszewski znowu się poruszył i wyrzekł:

— Otóż i racja. Ale niech tylko dobrą będzie

nauczycielką, a jak powiadam, bez fochów i grymasów, to i mniejsza o resztę.

— Brak u niéj taktu — wtrąciła panna Klementyna.

— To i zkądżesz go mieć może? zauważył znowu Łasiński — chowała się za piecem, ot! — i uśmiechnął się znacząco. Radaby też za mąż poszła, rzecz naturalna — dodał, wyrzucając głową.

— A to ożeń się z nią! — kiwnął mu pan Rożniszewski, i zaśmiał się z dowcipu własnego.

— Co mnie po żonie, a jeszcze po takim *specjaliku*! *Merci*.

— A może i nie byłaby od tego? — pan Rożniszewski znowu swoim przyglądał się paznogciom.

— Może i nie — stary kawaler zalotnie uczernionego pokręcił wąsa.

Obecni rozśmieli się, prócz Kloci, która na niego ukośne a mroczne rzuciła wejrzenie.

— Cóż nam powiesz o Karlsbadzie? — zaczęła po chwili pani Rożniszewska.

— *Fetowali* mnie tam, *każolowali* — machnął ręką, jak gdyby o to nie dbał bynajmniéj. — Ale, ale! w ostatnich dniach pobytu mojego przybyła hrabina Feliksowa, i kazała wam *piękny komplement* oświadczyć. W grudniu zjedzie do Warszawy i koniecznie zachęca, byśmy także zjechali: chodzi jéj niezawodnie o pannę Klementynę — kiwnął córce z uśmiechem.—Twierdzi, że: *une telle beauté* powinna *embellir* towarzystwa wielkiego świata. Myślę, ze tam zapewne ma jaką partją dla ciebie, coś tam niby dała do zrozumienia: o partyi świetnéj, nazwisku pięknèm, już i nie pomnę co tam *parlowała* więcéj.

— O partją taką nie ma kłopotu! — rzucił Łasiński.

— To i kiedyż Alfonsek powróci? — zapytała matka.

— Ha! może dopiero około Bożego Narodzenia. — Dawnoż tu był Staś?

— Wczoraj.

— Z niego gość częsty w Trocku — dodał Łasiński.

Pan Rożniszewski powstał, strzepnął fular woniejący, ziewnął — i udał się do swojego pokoju.

Przy herbacie Anna została mu przedstawioną.

— No, pani masz przyjaciółkę z Kloci, cieszę się z tego — wyrzekł łaskawie przebierając palcami po stole, i mierząc ją długiem, badawczém spojrzeniem z pod przymkniętéj nieco powieki.

O Mrowinie, rozumie się, że żadnéj nie było wzmianki.

Z notatek Anny.

14 października.

„Pan Rożniszewski powrócił. Dla mnie jest grzeczny — ale przytém tak wymierzony, tak coś jest nienaturalnego w całéj jego postawie i byciu, że się czuję *nieswoją* w obecności jego. Z czasem to utrze się pewnie i nawyknę do tego, co mnie razi dzisiaj. A być może, że mnie tak wydaje się tylko — że to pochodzi z braku *obycia się* z ludźmi: tak mało dotąd poznałam swiata i ludzi, że i sądu żadnego jeszcze wydawać nie mogę. Nadto, będąc podraśnięta niejednèm, łatwo niesprawiedliwe i nieuzasadnione przywidzenia mieć mogę.

Mówią tu o przepędzeniu zimy w Warszawie. Byłoby to wielkie szczęście dla mnie bo mogłabym często widywać mamę, babkę i Julkę. — Już i nie wiem, jak doczekam świąt Bożego Narodzenia — a powrócę dopiero po nowym roku. Och, będzież-to szczęście!

Przeszłéj zimy państwo Rożniszewscy przez cały karnawał w Warszawie bawili, Panna Klementyna bywała wszędzie na wielkim świecie i podobała się bardzo. Podobno, że i parę dość świetnych odmówiła partyi.”

Nazajutrz zrana, jak to niemal codzień bywało, zeszła Anna, by pójść do biblioteki. W przedpokoju nie było klucza, i przypuszczając, że tam jest pan Zegier, pospieszyła, by go zastać i zapytać: jakim to porządkiem powinnaby czytać kroniki rzeczypospolitéj polskiéj. Otwiera drzwi — i zastaje pana Rożniszewskiego, który porywa się nagle, z wyrazem aż nadto grzecznym — aż nadto słodkim, że Anna aż zdumiała.

— Jakiemuż szczęśliwemu zdarzeniu zawdzięczam ukazanie się pani? — pyta, posuwając się ku niéj z najwdzięczniejszym uśmiechem.

— Przypuszczałam, że tu zastanę pana Zegiera— odpowiada Anna pomięszana.

— O, i ja pani usłużyć potrafię! O cóż chodzi?

— Chciałam go prosić .... o którą kronikę.

— Poszukamy razem.

— Pan dobrodziéj jesteś zatrudniony, a mnie wcale niepilno — skłoniła się szybko i wybiegła, przestraszona tym zbytkiem niewłaściwéj galanteryi. Odtąd już unikała trosliwie podobnego spotkania.

Z notatek Anny.

16 października.

„Miałam dziś list od mamy i od Julki. Mój rysunek podoba się bardzo. Babka przysłała mi za to ładną sukienkę z lekkiéj materyi jedwabnéj, zieloną, ślicznego koloru, jasną, szczególniéj korzystnie wyglądającą przy świetle wieczornem—przybraną gustownemi rozetami i koronką czarną. Mnie aż strach takiéj sukni w położeniu naszém. Babka i mama przypuszczają, że znowu na jakim będę baliku, i dla tego o mojéj tualecie pomyslały tak skrzętnie. Mama nadto różne dołączyła bagatelki — dobra, kochana mateczka!

Niepokoi mnie co mi mama o babce donosi: że ciągle tylko marzy o odbiorze summy na Kierejach, i po nocach całych sypiać ztąd nie może. Droga, jedyna babka, jéj przywiązanie, jéj troskliwość o los mój niemałym ku temu są bodźcem: radaby mnie co rychléj wyrwać z Trocka i z tego — jak się wyraża — poniżającego stosunku. Odzywam się zawsze: że nie uważam tego stosunku za poniżający bynajmniéj! że sobie pochlebiam, iż staję się użyteczną: bo kształcenie młodziutkich serc i umysłów jest przecie zasługą — a przekonanie o tém rodzi błogie zadowolenie; że szczere zajęcie się podobnym obowiązkiem, powinno zjednać współczucie — i pozyskałam téż sobie przywiązanie Kloci. — O drugich osobach nic nie nadmieniam.

O, zapewne, że stanowisko nauczycielki *nigdy* poniżającém być nie może — ale mogą je okoliczności i osoby uczynić ciężkiem i bardzo dotkliwém.

Czy uleganie i znoszenie cierpkich a niekiedy i bolesnych razów dla świętego spokoju, jest poniżającém? — Och, nie! mówi instykt i serce. To co znosimy przez miłość zgody — dla miłości bliźniego — dla miłości Bożéj — możeż być przez naganne podyktowanem uczucie? Przez słabość zbyteczną — przez tchórzostwo ducha — lub znikczemniałość? — Gubię się niekiedy, rozbierając to pytanie, lecz w głębi duszy odpowiada mi głos tajemny: Nie! — Nie jestże cierpliwość raczéj zasługą, a nie upodleniem? — *Cierpliwość mury przebija*! Pokorę uznaję tylko w obec Boga i rodziców. — Wytrwania i uznania, mój wielki Boże!

17 października.

Moja Nastka uczyniła mi dziś wyznanie, że ma kochanka — a tym jest Jonek, stajenny pana Stanisława Wojarowskiego. Pan Wojarowski, któremu Jonek niekiedy w jego konnych towarzyszy przejażdżkach, zatrzymuje się często przed domkiem gajowego dla zapalenia cygara — i ztąd zawiązała się znajomość. Pan lubi Jonka — który ma nadzieje zostania wkrótce stangretem, bo stangret dzisiejszy jest już starym: służył jeszcze u rodziców pana Stanisława — pan Stanisław daje mu chleb łaskawy, ażeby sobie na sędziwe wypoczął lata.

Nastka przychodzi już teraz do mojego pokoju— i szyć ją pouczam.

20 października.

Wczoraj obchodzono tu okrężne — nie było tak wesoło, jak w Zalasach. Gromada przyniosła wieniec — zaśpiewała — a potém odesłano ich zaraz na folwark. Nastka zajęła mnie najwięcéj: wyglądała ładniutko w swojéj pąsowéj sznurówce, błękitnéj spódnicy i białym fartuchu — czyli zapaśniku — z warkoczami czesanemi starannie i w czółku z wstęgami. A ciągle tańczyła z Jankiem, przystrojonym po krakowsku, świątecznie.

Na dzień nowego roku zapowiedziany jest bal w Trocku — bal wielki, wystawny. A ja będę wtedy z mateczką, babcią i Julką — i stokroć piękniejszy bal będę miała! — Liczę dnie i godziny. Niechaj balują w Trocku! My zaś zasiądziemy sobie w cichym pokoiku — a co to tam wszystko będzie do opowiadania! — Boże daj, jak najrychléj te chwile!

Panie były w tych dniach w Roztoczanach— i przywiozły z sobą nowinę: ze 21 Stycznia wyprawi pani jenerałowa imieniny kuzynce swojéj z Litwy, pani Agnieszce Skirgiełłowéj, któréj syn ożenił się w pierwszych dniach października z wnuczką pani jenerałowéj, piękną Lucyną Terasiewiczówną. Na te imieniny zjedzie się cała rodzina — uroczystość będzie wielka — program zabawy jeszcze niewiadomy.

Panna Klementyna nie chce na karnawał do Warszawy pojechać. Ze mną jest jéj postępowanie zawsze jedno i toż samo. Nie czytuję jéj nigdy — i téż nigdy do spólnéj nie wezwie mnie przechadzki.

(d. c. n.)